



Jaume Cabré

C I E Ñ E U N U C H A



MARGINESY

Jaume
Cabré

CIEŃ EUNUCHA

Przełożyła z języka katalońskiego ANNA SAWICKA

MARGINESY

L'ombra de l'eunuc

THE TRANSLATION OF THIS WORK WAS SUPPORTED
BY A GRANT FROM THE Institut Ramon Llull

 **institut
ramon llull**
Język i kultura katalońska

© Jaume Cabré, 1996

© FIRST PUBLISHED IN CATALAN BY Raval Edicions, SLU, Proa, 1996
PUBLISHED BY ARRANGEMENT WITH Cristina Mora Literary & Film Agency
(Barcelona, Spain)

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Sawicka
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2016

OD TŁUMACZKI

Wśród wielu wątków, z których składa się ta opublikowana w 1996 powieść, takich jak historia wielopokoleniowej rodziny katalońskich przemysłowców, *Bildungsroman*, burzliwe dzieje opozycji w ostatnich latach dyktatury frankistowskiej, życie studenckie Barcelony lat siedemdziesiątych minionego stulecia oraz kulisy twórczości artystycznej i dziennikarskiej, jeden motyw – muzyczny – zdecydowanie wysuwa się na plan pierwszy. W utworze, gdzie obaj uzupełniający się narratorzy zmyślają, koloryzują, użalają się nad sobą, a przy okazji manipulują odbiorcą, prawdopodobna okazuje się tylko muzyka.

Stawia ją na szczególnym miejscu główny bohater, Miquel Gensana, i wyróżnia spośród innych zainteresowań i pasji. Zajmuje się nią amatorsko – jako meloman – i zawodowo, jako krytyk muzyczny, co pozwala autorowi poszerzyć krąg postaci fikcyjnych, takich jak członkowie Tria Rimsky, o znanych współczesnych wykonawców, pod pretekstem przeprowadzanych wywiadów czy kularowych spotkań. Na tej zasadzie w epizodycznych rolach Jaume Cabré obsadza

wiolonczelistę Lluísa Claretę, pianistę Andrésa Schiffa czy dyrygenta Daniela Barenboima.

Nawiązań do różnych utworów instrumentalnych jest w tym utworze wiele. Drugi narrator, wujek Maurycy, z upodobaniem gra fortepianowe kompozycje Katalończyka Frederica Mompou czy Chopina. Wielka miłość Miquela, Teresa Planella, jest skrzypaczką i ma bogaty i urozmaicony repertuar, który stanowi przedmiot częstych komentarzy, refleksji, dyskusji, a nawet szczegółowych analiz. Z pozamuzycznych powodów wspomniani są tacy kompozytorzy jak zmarły młodo Juan Crisóstomo Arriaga (1806–1826) – budzi kompleksy u narratora, który mu zazdrości dobrze wykorzystanej, choć krótkiej młodości – czy na wpół legendarny kataloński gitarzysta Ferran Sorts, bohater *Jaśnie pana*, w tajemniczy sposób spokrewniony w zamierzonych czasach z rodziną głównego bohatera *Cienia eunucha*.

Wśród znanych kompozytorów różnych epok szczególną rolę w strukturze powieści odgrywa Robert Schumann i jego kompozycja fortepianowa op. 21 *Novelletten*, stanowiąca tło dramatycznego rozstania powieściowych kochanków. Ich pierwszym spotkaniu również towarzyszyły wywołujące prawdziwą ekstazę erotyczno-artystyczną kameralne utwory Franza Schuberta, Johannes Brahmsa i Dymitra Szostakowicza.

Jednakże wyjątkowość *Cienia eunucha* wśród całej nasyconej muzyką twórczości Cabrégo polega na tym, że powieść nie tylko została zainspirowana, ale wręcz odtwarza konkretny utwór muzyczny w swojej strukturze*. Chodzi

* Dokładną, porównawczą analizę muzyczną powieści i koncertu przedstawiła w pracy dyplomowej *L'àngel i l'eunuc. La música d'Alban Berg a „L'ombra de l'eunuc” de Jaume Cabré* (2007) katalońska muzykolożka Albada Olaya Tubau. Na temat muzyki w twórczości Cabrégo powstała również praca doktorska Mòniki Ortiz de Pinedo Solé *Jaume Cabré: literatura i música* (2013). Ta druga badaczka przypomina, że podobnie jak *Cień eunucha* zbudowana jest powieść Aleja Carpentiera *Harfa i cień* (1979).

o *Koncert skrzypcowy* Albana Berga (1885–1935), zwanego w powieści „Boskim”. Nie jest bez znaczenia, że uroczyste prawykonanie tego koncertu odbyło się właśnie w Barcelonie, już po śmierci kompozytora – 19 kwietnia 1936 roku, podczas festiwalu Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej. Dyrygował Hermann Scherchen, a partię solową wykonał amerykański skrzypek Louis Krasner, który zamówił u Berga ten koncert, kusząc go hojnym honorarium 1500 dolarów (które, zdaniem Bogusława Kaczyńskiego, ostatecznie przekonało niezamożnego kompozytora, by oderwał się od pracy nad operą *Lulu*). Przy pierwszym spotkaniu podczas zaimprovizowanego koncertu amerykański wirtuoz, prezentując skalę swoich możliwości wykonawczych, podrzucił kompozytorowi kilka tematów, inne motywy, jak piosenka z Karyntii czy walce wiedeńskie, miały źródła popularne i nawiązywały do miejsc ważnych dla austriackiego artysty, ale na ostateczną wersję nowej kompozycji wpłynęły tragiczne wydarzenia osobiste. Po śmierci osiemnastoletniej córki zaprzyjaźnionej z kompozytorem Almy Mahler, Manon Gropius, przez rodzinę nazywanej Mizzi czy Muzzi, Berg, sam już wtedy ciężko chory, zadekował swój utwór tej młodej dziewczynie, opatrując go podtytułem „Pamięci anioła”. Cytat z *Kantaty* nr 60 Bacha – chorał *Es is genug**, wykorzystany przez Berga w zakończeniu koncertu, jeszcze dobitniej podkreśla dramatyczny charakter całej kompozycji, pomyślanej jako requiem dla Mizzi, a odczytywanej przez melomanów i przyjaciół artysty** jako „requiem, które Alban Berg wyśpiewał sam dla siebie”***.

* I dalej: *Herr, wenn es dir gefällt, so spanne mich doch aus!*

** Anton Webern, który miał dyrygować prawykonaniem koncertu, zrezygnował po trzeciej próbie – tragedia śmierci przyjaciela była zbyt świeża.

*** Bogusław Kaczyński, *Ucieczki do Karyntii. Rzecz o Albanie Bergu i jego operach*, Warszawa 1987, s. 56.

Co ciekawe, pomysł wpisania całej powieści w ramy struktury muzycznej pojawił się dopiero na zaawansowanym etapie redakcji tekstu, jak to często u Cabrégo bywa – w magicznym momencie olśnienia. Przypomnijmy, że w podobny sposób uzyskał ostateczną strukturę *Jaśnie pan* – podczas prowadzonych przez Cabrégo amatorskich obserwacji astronomicznych. W eseju *El sentit de la ficció. Itinerari privat* (1999) autor wspomina koncert w barcelońskiej filharmonii, kiedy słuchając *Kwintetu fortepianowego f-moll* op. 34 Brahmsa, nagle wyobraził sobie linię melodyczną tamtego utworu w postaci struktury przestrzennej – zobaczył jego architekturę i skojarzył go z powieścią, nad którą pracował. A że już wcześniej w *Cieniu eunucha* nadał wyjątkową rolę solistce, która przygotowuje się do interpretacji koncertu skrzypcowego Berga, wpisanie treści w określoną architekturę muzyczną nie tylko stało się czymś naturalnym i oczywistym, ale wręcz ujawniło, że od początku wiele elementów struktury literackiej w sposób naturalny podporządkowywało się muzycznej logice. Przede wszystkim chodzi o rytm narracji naśladujący muzyczne tempo – andante (umiarkowane, w części pierwszej), allegretto (szybkie, w części drugiej), allegro (bardzo szybkie, w trzeciej) i adagio (wolne, mroczne, w części czwartej). Istotne są też przeplatające się wariacje tematyczne czy powracające motywy, ale chyba najważniejszy jest nastrój requiem, obecny zarówno w opisie frustracji obu narratorów, jak też dochodzący do głosu w kulminacyjnych momentach, kiedy śmierć, krążąca niczym sęp nad bohaterami, odbiera im to, co najcenniejsze.

Zapewne ta literacko-muzyczna harmonia sprawia, że autor uznaje *Cień eunucha* za jedną ze swoich najbardziej udanych książek.

Anna Sawicka

ANNA SAWICKA – iberystka, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor „Studiów Iberystycznych”, tłumaczy z języka katalońskiego i hiszpańskiego. Przez pięć lat była lektorem języka polskiego i wykładowcą literatury polskiej na Uniwersytecie Barcelońskim. Zajmuje się m.in. literaturą i kulturą katalońską (*Paryż–Barcelona–Sitges. Modernistyczny „genius loci” w Katalonii z perspektywą Santiago Rusiñola*, 2003, *Drogi i rozdroża kultury katalońskiej*, 2007). Ma w dorobku przekłady kilku katalońskich dramatów (Sergi Belbel, Josep Maria Benet i Jornet, Carles Batlle, Josep Pere Peyró, Lluïsa Cunillé, Guillem Clua) oraz opowiadania Pere Caldersa i Javiera Tomeo (*Minihistorie*, 2009), średniowieczny brewiarz mistyczny Ramona Llulla (*Księga Przyjaciela i Umiłowanego*, 2003), a także powieści Alberta Sancheza Pinola (*Chłodny dotyk*, 2006), Lluisa-Antona Baulenasa (*Za worek kości*, 2008), Marii Angels Anglady (*Skrzypce z Auschwitz*, 2010) i Eduarda Mendozy (*Miasto cudów*, 2010). W 2013 roku ukazała się w jej przekładzie pierwsza tłumaczona na język polski powieść Jaume Cabrégo, *Wyznaję*, w 2014 *Głosy Pamano*, a rok później *Jaśnie pan*.

W 2015 roku została uhonorowana prestiżową nagrodą Instytutu Ramona Llulla. Kapituła uznała, że *Głosy Pamano* to najlepszy przekład literacki z języka katalońskiego.

Spis treści

KSIĄŻKA UHONOROWANA

Nagroda miasta Barcelony, 1997

Nagroda pisma „Serra d’Or”, 1997

Złotą Czcionką, 1997

AUTOR NAGRODZONY TYTUŁEM

Premi d’Honor de les Lletres Catalanes

dla najlepszego pisarza katalońskiego, 2010

ORAZ

Krzyżem Świętego Jerzego,

najwyższym katalońskim odznaczeniem, 2014

CZĘŚĆ PIERWSZA. SEKRET AORYSTU

- | | | |
|----|-------------------------|-----|
| I | Andante (Preludium) | 19 |
| II | Allegretto (Scherzando) | 165 |

CZĘŚĆ DRUGA. PAMIĘCI ANIOŁA

- | | | |
|-----|----------------------------------------|-----|
| III | Allegro (Kadencja) | 327 |
| IV | Adagio (Chorał: <i>Es ist genug!</i>) | 441 |

Koda 487

DRAMATIS PERSONAE 491

Dla Margaridy

W twoim wieku wszyscy jesteście wilkami,
macie głód czasu w oczach.

JOAN MARGARIT

...for we possess nothing certainly
except the past.

EVELYN WAUGH

Adagio ♩ = 54

Solo-VI *mp* *ma deciso* *sul G* *doloroso*

[Es g - nug! Herr, wenn es Dir ge -

mp *dolce* *sul G* *poco ral. .. Poco più mosso, ma religioso*

fallt, se span - ne mich doch aus! _____]

ALBAN BERG

CZĘŚĆ PIERWSZA

SEKRET AORYSTU

Andante (Preludium)

Gdy wszystko już minęło, siedząc na wprost ciemnych oczu i doskonałej cery Júlii, zadałem sobie pytanie, w którym dokładnie momencie przegrałem swoje życie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Łatwiej było zgadywać, o czym teraz myśli Júlia. Przyjrzałem się jej dyskretnie: skupiła się na karcie, niezdecydowana, czy wybrać stek czy karkówkę. Co do restauracji, natychmiast oceniłem, że zaaranżowano wewnątrz w sposób wyjątkowo antypatyczny. W którym momencie wszystko się popsuło? Może stało się to tamtego deszczowego piątku wiele lat temu, kiedy już się wydawało, że znalazłem swoje miejsce w społeczeństwie. Po obiedzie ktoś zapukał do drzwi i ojciec wbrew swoim zwyczajom poszedł otworzyć, jakby tylko czekał na to pukanie. Później wspólnie zrekonstruowaliśmy bieg wydarzeń: ojciec stał na schodach i rozmawiał z kimś, nie wiadomo z kim. Zdaje się, że skierował do nas, czy do ściany, słowa, że zaraz wróci, i więcej go nie widzieliśmy. Mimo że padało, wyszedł na ulicę w kapciach i w koszuli z podwiniętymi rękawami. Całymi latami wyrzucałem sobie, dlaczego wtedy nie przeczułem, jak ważne było tamto pukanie, dlaczego tak łatwo

przegapiamy nieliczne naprawdę ważne momenty w życiu, a później marnujemy resztę rozpaczliwej egzystencji na bezowocne próby ich odzyskania. Mieszkałem wtedy u rodziców, świeżo po rozstaniu z Gemmą.

Mam dużo takich kluczowych momentów. Wymykają mi się z rąk, śliskie jak ryba, podczas gdy ziewam przed telewizorem albo rozwiązuję krzyżówkę. Ileż to razy rozpacziałem, bo nie mogłem sobie przypomnieć uśmiechu Teresy przed Ritzem. To uporczywe wspomnienie ciągle drąży mi mózg i wyciska łzy z oczu, dokuczliwe jak gorączka. Teresa uśmiechnęła się do mnie przed zalaną światłem fasadą hotelu, a ja stałem parę kroków dalej, w ciemności, zdyszany. Wobec mojego milczenia odwróciła się z uśmiechem do jarmarcznej budy. Nie, nie chcę teraz do tego wracać. Trzeba się skupić na karcie dań i podporządkować bezdyskusyjnej decyzji Júlii: mięso, ale jakie, zdecyduj się wreszcie, jestem głodna. Teresa jednak nie przestawała się uśmiechać, tam, przed Ritzem, na Piccadilly. W końcu zajrzałem do karty pisanej mdłym stylem niespełnionego literata, który kanonizuje potrawy, zamiast je opisywać. A przede mną Júlia, jej czarne oczy i aksamitny głos, które wabią niczym studnia bez dna, ale czuję się zmęczony; niezdolny do zakochania.

Wszystko zaczęło się parę godzin temu, kiedy Júlia zaproponowała mi wspólną kolację, bo jej zdaniem tylko ja mogłem jej pomóc. Albo nie: lawina ruszyła tego ranka, podczas pogrzebu, na cmentarzu. Od tamtej chwili nie mogę się uwolnić od obsesyjnej refleksji nad własnym życiem. Trzymałem się nieco na uboczu, ukryty za ciemnymi okularami. Wolałem nie podchodzić tam, gdzie stała rodzina, zaszokowana tą niespodziewaną śmiercią. A mimo to Rovira mnie rozpoznał i już się nie odkleił. Przy zwierzeniach wypaliliśmy pół paczki cameli. Na cmentarzu, zanim

Rovira do mnie podszedł, uświadomiłem sobie, niczym prawdę objawioną, że nigdy nie zdobędę się na zdementowanie oficjalnej wersji śmierci Bolósa jako ofiary tragicznego w skutkach, niepojętego wypadku. Tylko ja wiedziałem o tajemniczej wiadomości nagranej w środę wieczorem na automatycznej sekretarce: „Simó, to ja, Franklin: ktoś nas śledzi”. Później nastął czwartek z nową porcją sensacji, a w piątek, gdy wróciłem z cmentarza, zatelefonowała Júlia z propozycją kolacji.

Rzeźkie powietrze na cmentarzu przypomniało mi nieco cieplejszy, ale przesycony lękiem klimat na Kurnat as-Sauda. Pogodziłem się niemal bez walki, że mimo przypuszczalnie bohaterskiego okresu w moim życiu teraz muszę się chować za ciemnymi okularami, udawać rozkojarzonego, powtarzać tak, tak, co za bezsensowny, tragiczny wypadek. I uciekać stamtąd, zanim mnie całkiem rozbroi pytające spojrzenie Marii. Oraz Júlia przy telefonie.

– Tak, słucham, pod jakim warunkiem?

– Żebyś mi pozwolił wybrać miejsce.

Pomyślałem sobie, co mi zależy, też jestem sam, przybity, zniechęcony, z głową pełną Bolósa i sercem ściśniętym lękiem. Tak spanikowany, że nie potrafiłem na cmentarzu spojrzeć Marii w oczy.

– W porządku, zgadzam się. Dokąd chcesz mnie zabrać?

– Niespodzianka... Bardzo przyjemna restauracja, niedawno otwarta. Musimy porozmawiać o wielu sprawach, Miquelu.

– O czym?

– O wszystkim. O Bolósie. Potrzebuję informacji do artykułu.

– Artykułu?

– Duran cię nie uprzedził? Dodatek dla uczczenia pamięci.

– Zostawcie Bolósa w spokoju.
– Co z tobą? Nie podoba ci się nasz pomysł?
– Fantastyczny. – Z wymuszoną emfazą: – Naprawdę.
Nigdy nie potrafiłem udawać i Júlia natychmiast to wy-
czuła.

– Nie podoba ci się.

– Ależ tak, Júlio. A ty co o nim wiesz, no, o Bolósie?

Teraz Júlia odpowiedziała dziwnym milczeniem – jej też
nie najlepiej wychodziło udawanie.

– Ach, tyle co znalazłam w starych czasopismach, w bi-
bliotekach. Rozumiesz? – Niezręczna dla obojga pauza. –
Ale przydałyby się informacje o jego młodości, a ty... – Od-
chrząknęła. – Co? – I żeby mi dać czas na odpowiedź: – To
urocza restauracja, mają tam dobre mięso, a ty powinieneś
się rozerwać.

Uległem sile argumentów i powiedziałem, w porządku,
do usług. Dobry sposób, żeby nie spędzać czasu na kana-
pie, w ciemności, nie myśleć o Teresie, o Bolósie, o sobie,
o Teresie i o lęku wywołanym telefonem, gdy ochrypli głos
groził mi jakąś straszną karą, jakby nie wiedział, że naj-
gorszą karą jest pamiętanie o tamtym mokrym ręczniku
i dwudziestopięciowatowej żarówce. I wspomnianie Teresy.

Júlia przyszła po mnie o ósmej, ale zamiast wsiąść do sa-
mochodu, wyciągnęła do mnie dłoń z porozumiewawczym
uśmiechem, z prośbą o kluczyki. Chciała konsekwentnie
doprowadzić do końca swoją niespodziankę. A ponieważ
wobec uśmiechu kobiety jestem bezbronny, złożyłem w jej
ręce kluczyki i moje życie, też z uśmiechem, ale niepew-
nym, bo marny ze mnie pilot. Poza tym wiem, że Júlia jest
typem kierowcy nostalgicznego i nieprzewidywalnego, cały
czas gada, gestykuluje, zapomina o kierownicy, nerwowo
puszcza sprzęgło, wzdycha i tylko z rzadka, od niechcenia
sprawdza, co się dzieje na drodze. Czyli nastawiłem się na

ciężkie chwile, i to dość długie, bo szybko się okazało, że
ta uroczą restauracja nie znajdowała się w Barcelonie. Wy-
jechaliśmy z miasta Meridianą, jeszcze niezbyt zatłoczoną,
a Júlia zmieniała pasy, kiedy chciała i jak chciała, chyba
pod wpływem poetyckiego natchnienia, podczas gdy mnie
cierpła skóra na karku. Tyle tylko, że dziewczynie udało się
odwrócić moją uwagę od smutnych myśli.

– Nie powiesz, dokąd jedziemy?

– Nie. Ale uprzedzam: ty będziesz płacić rachunek.

– Jeśli to do pracy, ściągnę pieniądze od Durana.

– Nie będzie chciał o niczym słyszeć.

– To się okaże.

Oparła dłoń na moim kolanie i ją tam zostawiła. Ja
z Júlią?

Jechaliśmy w kierunku Feixes w coraz większym tłoku,
torując sobie drogę między samochodami wyjeżdżającymi
z Barcelony. Musiałem mieć głupią minę. Wzruszył mnie
gest Júlii, ale nie spuszczałem oka z przerywanej linii,
na którą ona uparcie najeżdżała, jakby tam było najbez-
pieczniej.

– Wszystkiego mi się odechciewa.

– Mnie też.

– No to jest nas dwoje.

– To będzie kolacja na cześć Josepa Marii.

– Jakiego Josepa Marii?

– Bolósa. – Zmieniła ton głosu na wystudiowany. – Nie-
samowite, jak ci ludzie prowadzą. Zauważyłeś?

– Bolós to mój serdeczny przyjaciel – wróciłem do prze-
rwanego tematu. – A może byś się trzymała swojego pasa?

– Och, Miquel... Nie zaczynaj, dobrze?

Zapanowała cisza. Podziwiałem za oknem pejzaż z rzeką
Ripoll, starając się przynajmniej przez chwilę nie denerwo-
wać tym, jak prowadzi Júlia.

– Wiesz, że wiesz mnie w kierunku mojego domu?
– Niesamowite. To ty nie jesteś z Barcelony?
– Nie. Mieszkam tam. Ale pochodzę z Feixes.
– Coś takiego.
Kolejne osiemset metrów w milczeniu.
– Popatrz, jak to się dziwnie układa.
Uszczypnąłem ją w policzek, co spowodowało gwałtowną zmianę pasa.
– No wiesz, bywają gorsze nieszczęścia niż nie pochodzić z Barcelony.
– Akurat. Musi być ciężko.
– Niektórym się udaje przepracować tę traumę.
Minęliśmy Sabadell po prawej i jechaliśmy prosto jak po sznurku.
– Z Feixes pochodzi rodzina twojego ojca czy matki?
– Ojca, dziadków, babć, pradziadków i prababć. Moja rodzina ze strony ojca wrastała w dzieje miasta od niepamiętnych czasów.
– Cholera.
– Słucham?
– Powiedziałam cholera.
– No właśnie. Jeśli cię to nie nudzi, któregoś dnia mogę ci pokazać nasze drzewo genealogiczne. Mam takie, świetna robota. Byliśmy rodziną świadomą własnej przeszłości.
– Byliście?
– Byliśmy.
– To tak jak my. Mnie zostało tylko mgliste wspomnienie o jednym dziadku.
– Ja jeszcze parę lat temu miałem jednego, właściwie wujecznego dziadka. Wujek Maurycy. Wyjątkowa postać.
– Bo?
– Bo tak. Przeżył sto tysięcy lat, miał pamięć jak słoń i był niezłe zakrecony. – Zerknąłem, żeby sprawdzić, czy

mnie uważnie słucha. – Ten wujek to czarna owca naszej rodziny.
– Wyjechał do Ameryki i tak dalej, prawda?
– Nie. Wszyscy go nienawidzili.
– Ty też?
– Nie. Ja nie.
Júlia przyglądała mi się kątem oka, a jednocześnie zjechała z autostrady, nie włączając kierunkowskazu.
– Przedstawisz mi go? – rzuciła, nie przejmując się samochodem przed nami, który właśnie hamował.
– Nie żyje. – Zdążyliśmy się zatrzymać w ostatniej chwili, a mnie już serce podchodziło do gardła. – Proszę, zwolnij.
– Że co?
– To, co wiem o rodzinie, zawdzięczam jego manii przechowywania papierów. Wiedział dosłownie wszystko.
– Wszystko?
– Tak, dosłownie. W każdej rodzinie znajdzie się ktoś, kto jest skarbnicą pamięci, prawda?
– Nie w mojej. Nie jestem pewna, czy w ogóle jesteśmy rodziną. – Kiedy już zjechała na boczną drogę, zaczęła głośno myśleć. – Wydaje mi się, że można tu skręcić.
– No wiesz... Jest zakaz, ale dla ciebie to żadna przeszkoda.
– Cholera, gdzie?
– Za nami. – Biorąc głęboki wdech, wydusiłem z siebie: – Spokojnie, znów jest ruch dwukierunkowy.
– Wiesz, że już jestem głodna? – Zawahała się przez moment przed czerwonym światłem, ale w końcu zahamowała przy moim gorącym i entuzjastycznym moralnym aplauzie. – Zaraz dojedziemy, jeśli się tu nie pogubię.
Nie skorzystałem z okazji i nie powiedziałem jej, że wuj Maurycy ostatni rok życia spędził w domu wariatów, że kochał mnie mimo tego, co się wydarzyło, i że był jedyną

osobą w rodzinie, poza matką, z którą mogłem prowadzić długie, niespieszne rozmowy. Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek mógł jej o tym opowiedzieć.

Zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, Júlia już parkowała samochód na placu przed restauracją. Tak ją absorbowało parkowanie, tak bardzo się skupiła, żeby nie uderzyć za mocno w samochód stojący przed naszym, że nie zwróciła uwagi na moje milczenie.

– To jest ta restauracja?

– Aha. – Westchnienie ulgi. – Jak ci się podoba?

– Świetnie parkujesz. To jest ta restauracja?

– Już mówiłam, że tak.

Odebrało mi mowę. Wysiadałem z samochodu na nogach z waty. Było jeszcze jasno, letni wieczór. Nie mogłem się powstrzymać przed szybkim spojrzeniem na drzewko truskawkowe. Bardzo się rozrosło, widać, że o nie dbają. Podszedłem bliżej, ale nie dosłyszałem słów adresowanych do mnie przez wujka Maurycego w jego ostatnim, długim liście. Zegar słoneczny pozostał na ścianie z pnącą różą, bezużyteczny, bez słońca, bez róż. Lekki wietrzyk uwięziony w gałązkach brzozy delikatnie poruszał liśćmi. Na pozór wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

– Jak ci się tu podoba?

Júlia wyciągniętą ręką wskazywała budynek jak ktoś, kto się popisuje wielką rybą właśnie złowioną na wędkę. Cóż mógłbym powiedzieć: moja droga Júlia przywiozła mnie właśnie do mojego rodzinnego gniazda, do Gensana, domu, w którym się urodziłem, rosnę, płakałem i marzyłem. Domu, z którego uciekłem, kiedy przyszedł czas. Parę lat temu matka nagle została poinformowana, że ma się wyprowadzić, że budynek już do niej nie należy, i wszyscy zgłupieliśmy, czy nie dość, że ojciec odszedł w kapciach, zostawiając nam długi, weksle i pretensje,

żeby teraz na dodatek nagle stracić wszystkie wspomnienia. To wtedy wujek Maurycy wspiał się na krzew różany. Gensana, tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć. Niewiele brakowało do osiągnięcia pełnych dwustu lat udokumentowanej rodzinnej historii. Czuję się jak król Marcin Ludzki. Tu, z powodu mojego opieszalstwa, pogrzebana została posiadłość Gensana, zamieniona w groteskową restaurację, która jak na ironię, nosi nazwę Czerwony Dąb, wypisaną designerskimi literami.

– Miquel, oddaję kluczyki.

– Że co? – Z trudem oderwałem się od swoich myśli i poszedłem za nią. Trzy stopnie, podest i jeszcze dwa. Karty Visa, MasterCard i American Express reklamujące się na szybie w drzwiach nadawały całości jeszcze smutniejszy wydźwięk. Przed nami wyrósł jak spod ziemi mężczyzna z przyklejonym do twarzy uśmiechem maître'a i powitał nas w moim domu.

– Mamy zarezerwowany stolik – oznajmiła, jakby już się tu czuła jak u siebie.

– Ależ nie!... – poprawiłem ją przestraszony.

– Ależ tak... – tłumaczyła cierpliwie, jak dziecku, z rozbajającym uśmiechem. Zwróciła się do maître'a: – Rezerwacja na nazwisko Miquel Gensana.

Puściła do mnie oko. Niezawodna, kiedy chodziło o sprawy praktyczne. A ja przez moment, mimo że znaleźliśmy się tam, gdzieśmy się znaleźli, pomyślałem sobie, a może by się w niej zakochać i mieć to z głowy. Ale to takie trudne, gdy masz w głowie natłok myśli, zaczynając od Teresy, jakże by inaczej, oczywiście, ale do tego jeszcze to tchórzliwe poczucie lęku, które ochrypliły głos w ostatnim telefonie wywołał na nowo.

– Co z tobą? Nie podoba ci się tutaj?

Maître, energicznym ruchem ręki dając do zrozumienia, że nasza ekspedycja właśnie wyrusza w kierunku upatrzonego stolika, oszczędził mi odpowiedzi. Kiedy podążaliśmy za nim slalomem między pustymi jeszcze stolikami, okupującymi mój salon, moją jadalnię, och, bibliotekę też, wszystko obszcenicznie ze sobą połączone, Júlia powiedziała mi na ucho, żeby dodać otuchy, że wybrała dla nas magiczny zakątek, Miquelu, tuż przy fontannie, która szemrze tak rozkosznie.

To było jak policzek, ta pożałowania godna fontanna w bibliotece, tam, gdzie zawsze stał fortepian wujka Maurycego, obok starodruków pradziadka Maura, poety. Już miałem powiedzieć parę słów do słuchu, ale chwilowo maître odwiódł mnie od tego zamiaru, podsuwając Júlii krzesło szarmanckim gestem. Mnie najzwyczajniej w świecie zignorował. Ukłonił się i odszedł, chyba po resztę ekipy, za nim zdążyłem otworzyć usta.

– Nie podoba ci się ten lokal? Co, Miquel?

– Ależ tak, jak najbardziej.

– Bo masz taką dziwną minę... Podają tu fantastyczne mięso.

– Spróbujemy.

Przystąpiliśmy do studiowania karty dań. Ona ze zdwojoną gorliwością, jakby chciała mnie wyręczyć. Tymczasem mnie w karcie najbardziej zainteresował ten rozłożysty dąb, logotyp restauracji, stylizowany na starą grafikę. Skojarzył mi się z wielkim drzewem genealogicznym Gensanów, które oglądałem na kolanach babci Amèlii, w domu, czy u wujka Maurycego w wariatkowie, kiedy pewną jeszcze wtedy ręką wskazywał miejsce należne ciotce Carlocie, jego prawdziwej matce, bohaterce romantycznej historii, czy miejsce dziadka Maura, poety. Oraz prababki Josefiny... Myślałem o jego obietnicy odtwo-

rzenia Prawdziwego, Nieznanego Drzewa Genealogicznego Rodziny.

– Prawda, że dobrze się zapowiada?

– Tak... – Rzuciłem okiem na dania. – Widzę, że mają wszystkiego po trochu.

– Mięso.

– Co?

– Tu obowiązkowo trzeba zamówić mięso.

Nie pamiętam, żeby w moim domu należało obowiązkowo coś jeść czy nie jeść; ani nie byliśmy Żydami, ani nie obchodziliśmy piątków w chrześcijańskim wielkim poście. Dlatego uśmiechnąłem się mimo woli do swoich myśli. Ona wzięła to za opór niewyrobionego smakosza i ze srogą miną stuknęła palcem w kartę.

– Mięso.

– Zgoda, mięso.

Z karty wynikało, że ci idioci chcieli przyciągnąć do restauracji snobistycznych klientów, takich jak Júlia i jej nieznośne towarzystwo. Mimo idiotycznej nazwy.

A ja stałem się ofiarą. Bo i co mogłem zrobić? Nic, pozwolić, żeby wszystkie wspomnienia stanęły mi przed oczami. Co mogłem zrobić? Nic, rozważać tylko, och, gdyby życie potoczyło się inaczej, gdyby dało się przewidzieć konsekwencje czynów i decyzji... gdyby dało się cofnąć błędny ruch, jeszcze raz odtworzyć tę samą płytę, tym razem w zwolnionym tempie, żeby przeanalizować, na czym polegał błąd, w którym momencie sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli... Prawdopodobnie takie jasnowidztwo byłoby gorsze niż tortura. Albo prowadziłyby prostą drogą do cynizmu.

– Może lepiej nie widzieć nic poza czubkiem własnego nosa.

– Co? – Júlia spojrzała na mnie jak na wariata.

– Przepraszam... Po prostu...

– Tak... – Spojrzała w dół, a potem znów zmierzyła mnie wzrokiem. Júlia ma bardzo ładne oczy. – Dobrze się czujesz?

– Doskonale. – Nadrabiałem miną, próbując wysilić się na niefrasobliwy uśmiech. Júlia przyglądała mi się zmartwiona. Już chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Na szczęście dla mnie, bo w tym czasie kłębił mi się w głowie natłok myśli wokół śmierci Bólosa i nie potrafiłem rozeznaczyć, w którym momencie należało postąpić inaczej, żeby teraz nie zdręzczać się tą śmiercią, widziałem siebie na cmentarzu, przypomiinałem sobie zrozpaczoną Marię, owdowiałą żonę Bolósa, i czułem do siebie wstręt, aż do chwili, gdy podszedł do mnie Rovira i zajął mnie rozmową o tysiącu innych spraw. Cały czas jednak dręczyły mnie wyrzuty sumienia z powodu własnego tchórzostwa, bo przecież doskonale wiedziałem, jaka była prawdziwa przyczyna śmierci Bolósa. Tę wiedzę dzielę chyba tylko z mordercą. I może jeszcze domyśla się Niebieskooki. A tymczasem ukrywałem się za ciemnymi okularami, aż przyszedł Rovira i zaczął nawijać o kobietach, jego stały temat, od kiedy zrzucił sutannę ze sto lat temu.

– Zamówię stek mignon – zawyrokowała Júlia, rezygnując z dalszego dręczenia mnie osobistymi pytaniami. Wyglądała na zadowoloną z podjętej decyzji. – A ty?

A ja właśnie doszedłem do wniosku, że w ciągu tych czterdziestu ośmiu lat, które miałem na karku, mimo podejmowanych wysiłków nie udało mi się uwolnić od czegoś w rodzaju chronicznych, zadekretowanych wyrzutów sumienia, że nie wspomnę o mokrym ręczniku i dwudziestopięciowatowej żarówce. Przez całe życie zaczynałem i kończyłem jakieś etapy, zawsze z niekorzystnym dla mojej duszy saldem. Od wieków nie wierzyłem w Boga.

– A teraz pewnie mam ci mówić o Bolósie.

– Owszem, ale najpierw zajrzyj do karty.

– Spiesz ci się?

– Nie, wcale.

– Nie sposób mówić o Bolósie, nie wspominając o mnie.

– Dobrze. O tych czasach, kiedy byliście ze sobą blisko. Spojrzałem bez entuzjazmu w menu. Jakby to wszystko wyjaśnić Júlii?

– Czuję się przygnębiony.

Teraz patrzyła na mnie tak, jakby zamierzała zrobić mi awanturę. Przestraszyłem się. Najbardziej ze wszystkiego boję się rozgniewanej kobiety.

– Może byś tak wreszcie wybrał porządne danie mięsne, co? – wycedziła z obrażoną miną. – Ja też jestem przygnębia, ale trzymam fason.

– Bo ty nie jesteś przyjaciółką Bolósa.

Odłożyła kartę na stół i zmierzyła mnie spojrzeniem czarnym jak węgiel.

– Zjesz ze mną tę kolację czy nie? Pomożesz mi napisać artykuł o twoim przyjacielu czy nie?

– Jasne. Ja po prostu...

– Jasne. Ty. – Teraz widziałem przed sobą Júlię, urodzoną przywódczynię, ale zajmującą niższe niż ja miejsce w redakcji. – Zasięgnęłam języka, żeby znaleźć fajny lokal, zarezerwowałam stolik, wygoszparowałam czas w moim rozkładzie zajęć...

Nie wiedziałem, że sprawa jest aż tak poważna. Trudno, skupiłem się na karcie, jak niesforne dziecko, kiedy czuje na sobie groźny, surowy wzrok nauczyciela. Júlia milczała, chyba zirytowała ją moja apatia.

– Zdecyduję się na dorsza.

– Ale... – zaprotestowała, święcie oburzona, niczym Joanna d'Arc. – Przecież ci mówiłam, że to miejsce słynie z mięsa!

– Niech będzie mięso. No właśnie: mięso! – powtórzyłem z uśmiechem adresowanym do zde gustowanego maître'a, który przed sekundą wyłonił się spod jakiejś płytki i uzbrojony w notes zmierzył mnie nieufnym spojrzeniem.

– Jakie mięso, proszę pana?

– No nie wiem... – Na chybił trafił: – To z dwoma sosami.

Już pan zapisał, co pani sobie życzy?

– Tak, proszę pana. Już jakiś czas temu.

Uznałem ten komentarz za arogancki.

Negocjacje nie poszły łatwo, ale udało nam się sensownie dobrać potrawy, tak żeby Júlia była zadowolona. Kiedy wreszcie maître sobie poszedł, zapisawszy uprzednio wszystkie uwagi (mało wysmażony, bez soli, sałatka à la Montpensier bez cebuli) w notesie przypominającym, nie wiedzieć czemu, blok z formularzami mandatów, Júlia spiorunowała mnie wzrokiem.

– O czym ty myślisz? Można wiedzieć?

– Wygospodarowałaś czas w swoim rozkładzie zajęć! Wielkie dzięki!

– No, nie udawaj. O czym teraz myślisz?

Żeby się nie rozplakać, zacząłem się śmiać. Uszczypnąłem Júlię w policzek, pokonując jałową pustynię stolika. Júlię, sprytną, energiczną, z oczami i włosami jak węgiel, o delikatnej cerze, młodą, wyzywająco młodą, moją wielką nieznaną, bo nigdy o niczym poważnie nie rozmawialiśmy; pewnie dlatego, że nie mogłaby zrozumieć mojego życia toczącego się między jednym niezdecydowaniem a drugim; te dwadzieścia lat różnicy między nami sprawiało, że czułem się niewyobrażalnie stary, wydany na bolesne ataki nostalgii i wyrzutów sumienia, a myśl o śmierci na dobre zagościła w mojej głowie, pokrywając wszystko cienką warstwą patyny. Co znaczyło, że młodość minęła bezpowrotnie. Ale jak to wytłumaczyć takiej młodej dziewczynie? Równie

dobrze mógłbym powiedzieć widzisz tę restaurację, Júlio? To był mój dom. Tu, gdzie siedzimy, stał stary księgozbiór jednego z moich pradziadków, poety. Maur Gensana, słyszałaś o nim? Prawda, że nie? Wiesz, że ten twój maître ulokował nas w rodzinnej bibliotece? Ten magiczny zakątek to biblioteka. A ta, pożałuj Boże, fontanna, usytuowana tam, gdzie stał fortepian wujka, to policzek wymierzony w całem niezły gust mojej rodziny. Nie, nie mogłem jej tego wszystkiego powiedzieć, bo nie zamierzałem tu umrzeć ze wstydu. Musiałem zrobić cokolwiek, żeby się bronić przed spojrzeniem Júlii.

– Pewnego dnia – próbowałem ją zaintrygować – zakończyłem się.

– Ach tak. – Zdziwiona podniosła głowę.

– Tak. To się zdarzyło w domu towarowym. Mnie ruchome schody unosiły w górę. A ona jechała w przeciwnym kierunku. Wysoka, jasnowłosa, zjawiskowa. Roztaczała wokół aury piękna, rozumiesz?

– Phi.

– Spojrzeliśmy na siebie. Przeszyła mnie wzrokiem i nie mogłem się oprzeć. Aż w końcu znaleźliśmy się obok siebie.

– I co dalej?

– Oboje się przewróciliśmy. Poczułem jej zapach. I znów przeszyła mnie wzrokiem.

– Kto to taki? Znam ją?

Sięgnąłem po chleb. Wydawało mi się, że widzę rozmarzenie w jej oczach.

– Nigdy więcej jej nie spotkałem. Miłość uleciała.

– Miquel, czemu mi to mówisz?

Dlaczego? Bo byłem wściekły. Bo właśnie miałem zjeść kolację z dziewczyną, w której trochę się podkochiwałem, a ona, z tego, co wiedziałem, najwyraźniej bawiła się ze mną w ciuciubabkę, zresztą nigdy nie próbowałem z nią

rozmawiać o sprawach osobistych, nie zwierzałem się jej. Nie: nie zanosilo się na to, byśmy skończyli w łóżku. Opowiedziałem tę miłosną historię dla kurażu, bo jestem nieśmiały, bo właśnie pochowaliśmy Bolósa, a ta fontanna na środku biblioteki, czysty absurd, tkwiła w miejscu, gdzie wujek Maurycy, zanim go zamknęli, spędzał długie, niespieszne godziny wieczorne. Szukał sensacji w rodzinnym archiwum, oglądał obrazki w ilustrowanych żywotach świętych, grał Mompou i Bacha. Albo robił wycinanki z papieru. Denerwowałem się, bo przyszło mi stawić się incognito na kolację we własnym domu, siedzibie rodu Gensanów, gdzie od siedmiu pokoleń rodzili się i marli dziadkowie – Ton, Maur i wszystkie prababki, gdzie się urodził mój ojciec, gdzie ja też się urodziłem i wychowałem; domu, który był świadkiem moich dwóch ucieczek... Bo znajdowałem się w otoczeniu ścian stanowiących część mojego najbardziej osobistego, intymnego życia i moich wspomnień.

– Podoba ci się lokal, Júlio?

– Tak, bardzo. – Już się uspokoiła. – Uważam, że jest uroczy.

A więc mój dom wydał się jej uroczy. Dwieście lat życia rodzinnego, od Antoniego Gensany Pujadesa, oficjalnego założyciela rodu według drzewa genealogicznego, Antoniego I Gensany Protoplasty, aż do mnie, od końca wieku osiemnastego do końca dwudziestego, siedem pokoleń Gensanów, które dorabiając się majątku, tworzyły historię, które są fundamentem tych ścian, a cały ich wysiłek zasłużył teraz na ocenę uroczy. Nie wierzyłem własnym uszom.

– Tak, też uważam, że jest uroczy. Wiesz, że to był dom prywatny?

– Nie wydaje mi się... W takim domu nie dałoby się mieszkać, nie sądzisz?

– Aha.

– No tak, sam pomyśl! Jak nie duchy, to ściany by ci się waliły na głowę. No i musiałoby tu być sakramencko zimno.

W tej sprawie nie mogłem nie przyznać jej racji. Mówiła dalej:

– No wiesz, jeżeli ktoś tu mieszkał, musiał być nie lada dziwakiem albo dekadentem.

Nie myliła się i pod tym względem. Słuchałem dalej jej uwag.

– Wiesz, że znam właścicieli?

– Naprawdę? – zrobiłem się czujny. – Jakich właścicieli?

– Właścicieli restauracji. Maite Segarrę i jej męża, teraz już byłego, Manola Seténa.

– Nie rozumiem.

– Jak to nie, ten plastik. Nie mów mi, że go nie...

Zapaliłem papierosa, zastanawiając się, o kim ona mówi. Júlia rzuciła się jak sroka na zapalniczkę Isaaca Sterna.

– Ładna.

– Bardzo stara.

– I bardzo ładna. Skąd ją masz?

– Ach, masz na myśli tego Seténa, plastyka!

– Wiedziałam, że musisz go znać! – drążyła temat.

– Jak wpadł na to, żeby się zająć gotowaniem?

– Pewnie z nudów. Ej, muszą tu robić niezłą kasę. Och!

Upewniłem się, że Júlia odłożyła zapalniczkę na miejsce.

– Ale teraz jest tu dość pustawo – powiedziałem, żeby podtrzymać rozmowę.

– Wcześniej przyjechaliśmy. Jak chcesz, później ci przedstawię Maite.

Przyglądałem się Júlii przeżuwej kawałek chleba. Patrzyłem na białe zęby, do których tyle razy chciałem dotrzeć w pocałunku. Dlaczego w życiu takie cuda się nie zdarzają?

Już dawno przestałem w nie wierzyć. Doszedłem do paru wniosków, zawsze prowizorycznych, na temat życia i śmier-

ci. Jak na przykład, że ludzi od zwierząt odróżnia pragnienie wieczności; od wieków ludzkość desperacko walczy o nieśmiertelność różnymi sposobami: począwszy od umieszczenia własnej sylwetki na płótnie aż po dużo bardziej wyszukany wynalazek, jakim są religie, a pośrodku sytuuje się obsesja zachowania gatunku i przetrwania we własnym dziele. Według mnie są trzy sposoby na nieśmiertelność, których się dorobiliśmy: dzieci, sposób najczęściej stosowany, religia, sposób najbardziej prestiżowy, i sztuka, sposób najbardziej ze wszystkich wysublimowany. Ale co zostaje komuś takiemu jak ja, bezpłodnemu agnostykowi? Pewnie dlatego tak bardzo fascynuje mnie muzyka – jedni ją komponują, a drudzy wykonują; poezja – tworzy ją ktoś, kogo nie znam, a mimo to udaje mu się mnie wzruszyć, i malarstwo, którego nie umiałbym naśladować; nawet wziąć pędzla do rąk nie potrafię. Może dlatego płaczę, kiedy słucham Mendelssohna, i natychmiast szukam jakiejś kobiety, żeby mi otarła łzy. Ale gdy słucham mojego Albana Berga, nie ma na świecie osoby zdolnej powstrzymać mój smutek. Mało kto potrafiłby zrozumieć jego przyczynę. Najbardziej dręczy mnie to, że nie jestem ani muzykiem, ani malarzem, ani poetą, tylko zwykłym pieprzonym dyletantem, owszem, bardzo wrażliwym, ale niezdolnym do tworzenia. Nigdy nie byłem dobrym uczniem; Ramon, mój kuzyn, popisywał się, machając mi przed nosem świadectwem ze znakomitymi ocenami. Już w wieku dwudziestu czterech lat został inżynierem włókiennictwa, a dwa lata wcześniej zaczął pomagać ojcu rujnować naszą fabrykę. Ja tymczasem ledwo, ledwo przebrnąłem przez klasę matematyczno-fizyczną, zaliczyłem kursy przeduniwersyteckie na słabą trójczynę, zmieniłem profil na humanistyczny, a wtedy porwał mnie entuzjazm, ale nie do koniugacji czy architektury sakralnej, ale do wszelkiego rodzaju zgromadzeń spod znaku maja

sześciodziesiątego ósmego i wielu innych rzeczy, i rzuciłem studia w połowie, bo rewolucja była pilniejsza, a Berta taka śliczna. A kiedy wojna się skończyła i Franco zmarł w łóżku, znowu się zakochałem. Małżeństwo z Gemmą trwało dwa lata, dwa miesiące, dwadzieścia jeden dni i trzysta godzin. Kiedy wróciłem do domu, do smutnej, milczącej matki, i zastanawiałem się, czy i co powinienem rozpocząć na nowo, uświadomiłem sobie, że mam dwadzieścia siedem lat i już dawno przestałem rozmawiać z ojcem. Juan Crisóstomo Arriaga zmarł w wieku lat dwudziestu. Czuję się strasznie stary i zniechęcony. Zamiast kupić bilet do Indii, żeby tam złapać jakąś egzotyczną gorączkę, zamiast rozpocząć rozglądanie się za chętnymi dupami wśród znajomych, poprzestałem na zakupieniu abonamentu do Pałacu Muzyki, a życie zostawiłem innym, może im lepiej się poszczęści. Piąty rząd na parterze, miejsce prawie na środku. I poświęciłem się studiowaniu, lekturom, delektowaniu się pięknem. Teraz, po wielu latach, niektórzy uważają mnie za erudyte. Śmieszne, ale prawdziwe.

- Co ci mam opowiedzieć o Bolósie?
- Różne rzeczy. Prywatne. O jego młodości.
- Nie znałaś go, prawda?
- Ależ tak. Sam mi go przedstawiłeś. – Rozejrzała się, jakby chciała, żeby jej słowa pozostały tylko między nami, i świdrując mnie wzrokiem, zaatakowała: – Co się czuje, kiedy umiera bliski przyjaciel?
- Skąd przypuszczenie, że byliśmy sobie bliscy?
- Co się czuje?
- Nie wiesz, co się czuje? – Spojrzałem na nią kątem oka i stwierdziłem, że jest bardzo młoda. – Chyba nie umarł ci żaden przyjaciel.
- Nie. Ja nie mam przyjaciół.
- Nie wierzę.

– Nie. Tylko bardzo koleżeńskich kolegów. – Po cichu dodała: – Albo kochanków. Co się czuje?

Długo się zastanawiałem. Chyba za długo. Odpowiadając, unikałem jej wzroku, bo widziałem w nich Teresę.

– Nic, Júlio. Tylko chce się płakać.

„Urodziłem się w Feixes w 1905 roku, z Francesca Sicarta, obywatela, i Carloty Gensany, obywatelki. Ojciec mój, którego ojcowizna wskutek podziału między troje rodzeństwa równała się niemal zeru, musiał szukać środków do życia w zawodzie zegarmistrza, w którym istotnie był bardzo biegły. Matka, siostra wybitnego poety Maura II Gensany Boskiego i córka posła Antona II Gensany Złotoustego, była od niego bogatsza: miała urodę i cnotę. Nie bez trudności przyszło ojcu otrzymać jej rękę, jeszcze większe trudności mam ja, kiedy próbuję ją sobie przypomnieć”.

Uważam, że to bardzo szlachetny sposób zainauguowania stronic, które piszę, podczas gdy ty, mój Miquelu II Gensano Niezdecydowany, wyjechałeś na parę tygodni w jakiejś sprawie. Piszę je dla ciebie, bo wkrótce umrę, bez zbędnych ceregieli, podobnie jak wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie. Jedynym kłamstwem w nagłówku skopiowanym niezbyt wiernie z Rousseau* jest zawód mojego ojca. Co do reszty, Miquelu, sam rozsądzisz wedle uznania.

* Jan Jakub Rousseau, *Wyznania*, t. I, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), Warszawa 1978, s. 34.

Urodziłeś się trzydziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego. W tym czasie moje spojrzenie od pewnego czasu mąciła subtelna kreska nienawiści, napięta niczym wędkarska żyłka, cienka, ale mocna; umiejętnie zastosowana mogła stać się narzędziem dekapitacji. Już wtedy byłem Maurycym bez Ziemi, Odtrąconym, który nigdy nie będzie królował, podobnie jak ty. Kiedy się urodziłeś, miałeś jasne włosy i niebieskie oczy. Wkładałem palec do twojej rączki, a ty zaciskałeś piąstkę z całych sił, jakbyś walczył o życie. Wtedy zrozumiałem, że nie chcesz iść w ślady brata i dlatego tak mocno się mnie trzymasz. A byłeś trzecim Miquelem w moim życiu. Rodzice nazwali twojego brata Miquelem z powodu wyrzutów sumienia. W twoim przypadku tylko powtórzyli ten rytuał. Na pewno twoje imię jest jedynym moim zwycięstwem odniesionym w walce z rodziną, na której łonie przyjdzie mi umierać. Ale zanim doszło do chrztu, trzeba było, by moja wielka nieustająca miłość doznała najbardziej brutalnego ciosu, jaki można zadać namiętności.

W dniu, w którym przyszedłeś na świat, cała posiadłość rodu Gensanów pachniała mokrą ziemią. Od stulecia nie zapamiętano w Feixes tak deszczowej wiosny jak w tamtym roku. Zapach wilgotnej ziemi, najbardziej pierwotny z tych, jakie może rozbudzić wiosna, otula moje wspomnienia i kojarzy się z twoimi narodzinami. Obfite deszcze naruszyły dyscyplinę w ogrodzie, który teraz, wspaniała, bujny, prezentował się w pełnej krasie i strzelał w górę wszystkimi łodygami. Twój ojciec, z tym zamiłowaniem do pustych gestów, posadził wtedy drzewko truskawkowe przy wejściu do domu. Pere nie zdawał sobie sprawy, jaka to nieostrożność wiązać życie człowieka z drzewem. Ale ponieważ nie mogłem mu w tym w żaden sposób przeszkodzić, z rezygnacją przyzwyczaiłem się traktować truskawkowca jako część

twojego życia; dlatego też, tej samej nocy, kiedy zostało posadzone, wyszedłem do ogrodu, okopałem sadzonkę i niczym nowe wcielenie fryzjera Midasa powierzyłem ziemi słowa mojej sekretnej miłości, by nie odpłynęły z chmurami. Pewnie dlatego teraz mam odwagę ci je powtórzyć. O ile wcześniej nie dotarły do twoich uszu któregoś wietrznego zmierzchu, wplątane szumem wiatru między listowiem.

Nienawidzili mnie wszyscy mężczyźni w rodzinie. Poza twoim ojcem, on w młodości był moim serdecznym przyjacielem. Natomiast kobiety odnosiły się do mnie pobłaźliwie, bo wiedziały, że jedynym dozwolonym mi rodzajem szczęścia było obcowanie z muzyką Mompou, Satiego i Debussy'ego. Więc kiedy zasiadałem do fortepianu, nie zamykały drzwi biblioteki z kwaśną miną, tak jak to robił twój, pożałuj Boże, dziadek Ton, Anton III Fabrykant.

Nie chciałbym, żeby sierżant Samanta znalazła zeszyt ciotki Pilar. Schowam go pod papierem do wycinanek. A kiedy wrócisz z tej twojej absurdalnej podróży dokądś tam, po wywiadzie z kimś tam, znajdziesz go tu po mojej śmierci.

Nie wiem, czy to jest dobry moment, żeby zacząć mówić o wujku, pomyślał Miquel.

W historii Miquela II Gensany jest kilka punktów zwrotnych, wyznaczonych, co tu dużo mówić, przez kobiety. Należy do nich to dzisiejsze spotkanie z Júlią, która mnie zachęca do mówienia o Bolósie, zanim nam podadzą oliwki na przekąskę, ale żeby mówić o Bolósie, muszę mówić o sobie i obnażać się do przekraczających wszelkie wyobrażenie granic, pewnie dlatego, że Bolós stanowi część mojej duszy, tak samo jak Rovira, i nie ma znaczenia, że życie kapryśnie nas łączyło i rozdzielało. Ależ się guzdrzą z tymi oliwkami ci nowi mieszkańcy mojego domu. Kiedy to jeszcze było moje rodzinne gniazdo, a na dodatek ja w nim mieszkałem, marzyłem tylko o tym, by uciec stąd jak najdalej, udawać, że nie mam nic wspólnego z tym rozłożystym budynkiem. Stąd się wzięły moje eskapady. Ale w wieku szkolnym, chcąc nie chcąc, byłem z nim związany, bo samotne dzieciństwo Miquela to ciągle wędrówki do szkoły i z powrotem, to książki wujka Maurycego i głowa pełna marzeń. Dlatego świetnie zapamiętałem te nieliczne noce, gdy nie spałem w domu.

W autobusie wrzeszczeliśmy co sił w płucach, jak to dzieciarnia, wkurzając kierowcę i zaczepiając ojca Romaniego,

siedzącego z przodu na miejscu, które dwadzieścia lat później będzie zajmowane przez hostessy, informujące przez mikrofon po prawej Sagrada Família, dzieło znanego na całym świecie architekta Antonia Gaudiego, a spieczony na raka turysta robi zdjęcie ruin tej Sagrada Família, na pewno bardzo starożytnych, muszą pochodzić z czasów Rzymian, prawda, my darling, ten Gawdee to chyba jakiś Kartagińczyk, a my darling słucha nieuważnie, zastanawiając się, czy lody śmietankowe były marki Camy czy Frigo, a tymczasem hostessa oświadcza tu, dwadzieścia lat temu, tym autokarem albo innym, podobnym, ale bardziej staroświeckim, jechał Miquel II Gensana Myśliciel i jego nieodłączni przyjaciele, Rovira i Bolós, oraz czterdziestu innych rozrabiaaków z szóstej klasy gimnazjum jezuickiego kolegium przy ulicy Casp do domu rekolekcyjnego w Hostalets, szczęśliwi, bo w ciągu najbliższych trzech dni nikt, nawet profesor od matmy, nie będzie im zadawał pracy domowej ani robił klasówek, nie będzie upominał, że hałasują na korytarzu, bo zapamiętajcie sobie, że decyzje przemyślane w ciągu tych trzech dni poświęconych medytacjom mogą się okazać o wiele ważniejsze w waszym przyszłym życiu niż wszystkie podejmowane przez was w przyszłości studia. Daj mi chleb i mów, zem kiep: przed nami trzy wolne dni, tylko to się liczyło. A w czasie podróży ojciec Romaní nie marnował czasu na wskazywanie tu, po prawej, Gawdee, tylko czytał brewiarz.

Weszliśmy do domu rekolekcyjnego głównym wejściem, popychając się nawzajem i jeszcze trochę pokrzykując; najsprytniejsi zostali z tyłu i teraz, ukryci za autokarem, wypalali ostatniego na wolności papierosa i popisywali się opowieściami o kobietach, o których nie mieli bladego pojęcia. Jakaś uśmiechnięta, dyskretna zakonnica przywitała się z obu księżmi (drugim był ojciec Valero, ten od religii)

i coś tam im wyjaśniała. Od progu obszernego holu owionął mnie charakterystyczny zapach domu, w którym są czyste prześcieradła, lawenda, cisza przyprawiona odrobiną ługu i rozproszona w powietrzu woń kawy zbożowej. Rozlokowali nas w pokojach, o cholera, patrz, Rovira, pojedyncze sypialnie, a to ci dopiero. Miquel usiadł na jedynym w tej celi krześle, wyobrażając sobie, że jest mnichem. Do zapachu budynku doszedł teraz zapach sypialni, prawie taki sam jak na drugim piętrze w domu rodzinnym, królestwie służących, zapach skromnych sypialni, niewietrzonych, ale czystych. Wielebny Michaelus Saecundus OSB* podziwiał rozciągającą się przed nim panoramę: wąskie łóżko przykryte kocem w kolorze zabelonej kawy zbożowej, dwa czerwone pasy, krucyfiks u wezłowania zachęcający do pokuty, lampka na stoliku zapraszająca do studiowania teologii, ma lutka umywalka, szafa na ubranie nadgryziona przez korniki i czerwona, wyszczerbiona terakota na podłodze. Założę się, że jedna poluzowana płytką skrzypi, kiedy się na niej stanie, i będzie mnie rozpraszać w trakcie medytacji. Tak: poczuł się tu swojsko i serce zabiło mu radośnie, gdy sobie wyobraził, jakby to było pięknie zostać księdzem.

Trzy dni poświęcone na przemyślenia pod kierunkiem ojca Romaniego, który miał wprawę w przekładaniu głębokich refleksji świętego Ignacego na język zrozumiały dla dziatwy, trzy dni z niebem, piekłem, grzechem, ofiarnością, altruizmem, anegdotami i cytatami z Ewangelii, ze zbożową kawą z mlekiem, obfitością warzyw, mięsem w skromnych ilościach i czasem wolnym, żeby wyładować nadmiar energii na boisku. Ale Roviry futbol nie interesował, wolał iść na spacer, sam, drogą wysadzaną cyprysami, a Bolósa

* OSB (Ordo Sancti Benedicti) – benedyktyni (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

też trudno było namówić na kopanie piłki – wolał ukryć się z palaczami w pralni, mimo zakazu palenia.

Kiedy skończyły się Ćwiczenia Duchowe, stało się dla mnie jasne, że zostanę księdzem. Z wielu powodów: odnalazłem drogę, byłem spokojny i radosny, bo opowiedziałem się po stronie Prawdy i czułem potrzebę pokornego wskazywania tej drogi innym, którzy bądź z winy zaślepienia, bądź dlatego, że nie mieli szczęścia tu się urodzić, nie poznali dobrej nowiny Radości: Ja Jestem Drogą, Prawdą i Życiem. Wiedziałem, że jak już zostanę wyświęcony na księdza, zostanę misjonarzem i wybiorę misję najtrudniejszą, najbardziej odległą, bo co szkodziło doprawić szczerą zapalą szczyptą heroizmu. Oślepiiony światłem Michaelus powstał z ziemi i mimo że oczy miał otwarte, pozostawał niewidomy. Prowadzony za rękę wszedł do Damaszku. Przez trzy dni nie widział, nie jadł ani nie pił. Wrodzona nieśmiałość nie pozwoliła mu zakomunikować swojej decyzji ojcu Barnadesowi, który jako opiekun duchowy sprawdzał, jakie obiektywne skutki przyniosły te szczęśliwe trzy dni rekolekcji z ojcem Romaním. Tymczasem pewne niebieskie oczy o odcieniu przyprawiającym o zawrót głowy, jakby wyłoniły się wprost z morskiej toni, zachwiały niewzruszoną decyzją Miquela, w której towarzyszyło mu sześć koma siedem procent kolegów z jego klasy, dwa procent mniej niż w poprzednim roczniku, z roku na rok jest coraz trudniej, nie to co kiedyś, i uchowaj Boże, pewnego dnia.

Morska toń oczu należała do pewnej dwunożnej syreny w mundurku żeńskiego gimnazjum imienia świętej Joanny Lestonnac. Dziewczyna przyciskała uszczęśliwione pod ręczniki do ledwie pączkujących piersi, nosiła urocze skarpetki, a ponadto, jak mi się wydawało, spoglądała na mnie z sympatią. Na imię miała Lídia. Pomyślałem, o cholera, zjawiskowa, szkoda, że teraz spieszę się na pociąg, i przez

wiele dni adorowałem ją na odległość, na jej widok szybciej oddychałem, aż w końcu, nim serce wyskoczyło mi z piersi, niedoszły misjonarz Miquel zwrócił się o radę do Bolósa, eksperta w tych sprawach.

– Nie wiem, nie mam pojęcia, o którą ci chodzi.

Poszli więc pod jej szkołę, Bolós z zimnym spojrzeniem specjalisty, i starali się sprawiać wrażenie, że przez przypadek spacerują ulicą Pau Claris tam i z powrotem, przez przypadek właśnie przed żeńskim gimnazjum Lestonnac, przypadkiem dokładnie o szóstej po południu. Uderzenie łokciem w bok:

– To ta!!!

– Idą cztery.

– Ta najładniejsza!!

– Cholera.

– Ta z długimi włosami!

– Co ty pierdolisz, Gensana: dwie mają długie włosy.

– Ale ta druga jest brzydka jak oset.

Przed wdaniem się w owocną dyskusję teoretyczną na temat świata roślin i kobiecej urody uchroniło Miquela przeznaczenie.

– Ta, która się śmieje. Widzisz? Prawda, że na mnie spojrziała? Jak ci się wydaje?

– Tak... – pełna namysłu cisza – tak.

– Tak? Co znaczy tak? Ej, no, jak ci się podoba?

– Jeśli mam być szczery...

– No jasne! Prawda, że jest prześliczna? Że człowiek podciąłby sobie dla niej żyły?

– Gensana, moim zdaniem jest całkiem przeciętna.

Miquel i Bolós nie rozmawiali ze sobą przez trzy dni. Podczas gdy nasza przyjaźń zabrnęła na jałową pustynię, ja adorowałem moją ukochaną i chodziłem za nią krok w krok, starając się kroczyć dokładnie po tej ziemi, której dotknę-

ło błogosławieństwo jej stóp. Wzdychałem z głębi duszy, a tymczasem plany nawracania Kameruńczyków w Czadzie na Drogę Prawdy i Życia rozбивały się o oczywistość piękna i rozplływały we mgle, mimo że każdego dnia w kaplicy naszego gimnazjum robiłem, co mogłem, by podtrzymać pełgający płomień.

Zdałem małą maturę w roku, kiedy w Barcelonie zaczynało się mówić o konieczności pozbycia się tramwajów, żeby miejskie autobusy mogły bez przeszkód zakorkować ulice i do woli zatruwać powietrze. A może to była spóźniona pokuta obywatelska za działanie w złą wierzę tego Kartagińczyka, Gawdego. Najważniejsze, że skończyłem szóstą klasę bez żadnej poprawki. Ramió, Camós i Torres powtarzali klasę, a ja poszedłem od razu na kursy przeduniwersyteckie (osobny budynek, nie trzeba już nosić tego upokarzającego fartucha, można palić, nie chowając się po partyzancku w toalecie, miało się status dorosłego, było się podziwianym z zazdrością przez młodszych kolegów), ale wobec zawłości matematycznych te niezgłębione oczy z gimnazjum Lestonnac coraz bardziej płowiały i uznałem, że byłoby głupotą podcinanie sobie żył z powodu dziewczyny, której imię powoli ulatywało mi z pamięci, a na dodatek miała nierówne zęby. A kiedy on, Murillo, Bolós i Rovira szli pograć w piłkarzyki na ulicę Consell de Cent (teraz mógł wracać do domu późniejszym pociągiem), problemy Kameruńczyków rozplływały się niepostrzeżenie, aż wreszcie definitywnie uszło z nich życie, gdy musiał przysiąc nad matematyką, bo to akurat było najpilniejsze.

Więc kiedy znów ich zabrano do Domu Rekolekcyjnego, już nie byłem taki gorliwy, tylko uczciwie zastanowiłem się nad swoimi marzeniami i nad tym, co chcę robić w życiu. Doszedłem do genialnego wniosku, że jeśli chodzi o robienie, to najchętniej w życiu nie robiłbym nic, a co do

poświęcenia duszy Bogu, to sam już nie wiem. Prawdziwą radością było poczuć się wolnym od łańcuchów, które skrępowały Szawła dwa tysiące lat temu, bo świat przepelniały oczy niebieskie, czarne, brązowe, piwne i zielone, głębokie jak morska toń, a uświadomienie sobie, że nie jest zakazane podziwianie ich z racji złożonych ślubów, okazało się szczytem rozkoszy. W głębi duszy Miquel Wątpiący uważał się za tchórza, bo nie wziął sobie prawdziwie do serca wezwania Pana i musiał porozmawiać o tym kryzysie powołania z ojcem Romaním, między jedną nauką rekolekcyjną a drugą, w jego gabinecie, a później jeszcze z Bolósem, w pralni, przy zakazanym papierosie.

– Jeżeli masz powołanie, nie ukryjesz się przed Bogiem, choćbyś nie wiem gdzie się schował, synu. Pomyśl o Jonaszu.

– Ależ ojcze... Skąd mam wiedzieć, czy to powołanie?

– Dureń z ciebie, Gensana; potrzebują księży, żeby im interes się kręcił.

– No dobrze, ale przecież mogę mieć prawdziwe powołanie, nie sądzisz?

– Mój synu, Pan nie będzie cię rozliczał. Jeśli nie odpowiesz na wezwanie, nie popelnisz grzechu... Tylko nie wykażesz się gorliwością w momencie, gdy On tego od ciebie oczekuje.

– Ale mogę być dobrym człowiekiem, ojcze, mogę być dobrym chrześcijaninem, pracując w swoim zawodzie.

– Co za skurczybyki! Romaním chce wzbudzić w tobie poczucie winy, jak się nie zdecydujesz iść do zakonu.

– Nie, nie, nikt mnie do niczego nie zmusza. Tak jak nikt mnie nie zmusza do wyboru kierunku studiów.

– Na jakie studia się wybierasz, synu?

– Nie wiem, ojcze.

– Przecież ty nie masz zielonego pojęcia, co chcesz studiować!

– I kto to mówi!

Ta seria ćwiczeń duchowych okazała się dla mnie bardzo owocna, zorganizowana wprawdzie przez ojca Romaniego SJ, ale prowadzona przez Josepa Marię Bolósa, Serdecznego Przyjaciela, Doktora od Cudzych Problemów, który najpierw długo mnie przekonywał, że najlepiej kochać wszystkie kobiety świata, a zaraz potem wypłakiwał mi się w rękaw, bo zawróciły mu w głowie czarne jak węgiel włosy, których falowanie Jesús Maria zauważył na ulicy Casp w drodze do szkoły, a ich właścicielka nazywała się Maria Victòria Cendra, mieszkała na rogu ulic Bruc i València, uczyła się gry na flecie poprzecznym w szkole muzycznej, miała szesnaście i pół roku i na wakacje jeździła do Viladrau. W przeciwieństwie do mnie Bolós, kiedy wyznaczał sobie jakiś cel, angażował się na całego i zdobywał ważne informacje, podczas gdy mnie, marzycielowi, do szczęścia wystarczał uśmiech, może nawet nie do mnie adresowany. Coraz głośniej się mówiło, że tramwaje mają zniknąć, bo taka maszyna z wagonami mogła zabrać tylko trzystu pasażerów, autobusem zaś mogło podróżować aż dziewięćdziesięciu mieszkańców, no i ropa zawsze będzie tańsza niż prąd, a tymczasem nadeszła wiosna, kiedy dziewczyny wzdychają rozmarzone i stają się jeszcze piękniejsze w bluzkach z krótkim rękawkiem, a nawet przy odrobinie szczęścia w ogóle bez rękawów, bez pończoch i skarpetek, w nieco krótszych spódnicach, kiedy drzewa wybuchają tysiącnymi odcieniami zieleni, ku radości całego miasta, kiedy już wiadomo, że na pewno zaraz nadejdzie lato, a wraz z nim wakacje, a wakacje to wolność, jakie życie jest piękne, właśnie wtedy Miquelowi szczęka opadła z wrażenia, a Bolós wkurzył się na całego, ponieważ Rovira zakomunikował im, z całym ceremoniałem, podczas spaceru wysadzaną akcjami ulicą Diputació, że postanowił zostać jezuitą i w połowie września wstępuje do nowicjatu.

Pomyślałem: a to ci heca i natychmiast sobie skojarzyłem, o kurwa, Rovira, no a co z dziewczętami? Ale marzycielskie oczy Roviry wymierzone były powyżej tych spraw, wpatrywały się w zaświaty, tam, gdzie Droga, Prawda i Życie, a tymczasem obrażony Bolós w ciszy żuł gumę, a ja czułem się marnym pyłkiem i zazdrościłem Rovirze, bo okazał się wystarczająco odważny, żeby pójść za głosem Pana. Nie tak jak inni, którzy wrócili do domu, do Feixes i nie podzielili się prawie z nikim wieścią, że jeden z kolegów zamierza zostać księdzem, bo w tym momencie należało stoczyć ciężką walkę z ojcem, kiedy Miquel zdecydował, że nie pójdzie do Wyższej Szkoły Przemysłowej, jak wszyscy członkowie rodu Gensana, którzy chcieli w życiu do czegoś dojść. Od tego dnia relacje z ojcem stawały się coraz gorsze. A wujek Maurycy cieszył się w duchu i uśmiechał pod wąsem; chociaż wstrzymywał się od wygłaszania komentarzy, swoje wiedział – że Miquela, jego jedyne, najukochańszego bratanka, ciągnie do całkiem innych studiów. Do domu Gensana powrócił spokój. Ojciec nadal był niezadowolony, ale tego spokoju nie zakłócał. A matka odetchnęła z ulgą.

W dniu inauguracji zajęć na uczelni Miquel założył krawat i wyjechał pierwszym porannym pociągami. Spotkałem się z Bolósem na placu przed uniwersytetem. Obaj starali się sprawić wrażenie, że wcale się nie denerwują, nie są podekscytowani. Pewnie dlatego poszliśmy na kawę do baru naprzeciwko, skąd od czasu do czasu spoglądaliśmy dyskretnie w stronę budynku Wydziału Humanistycznego, jakbyśmy się obawiali, że nam uciekną. Bolós też był w krawacie. W ciszy mieszałem łyżeczką cukier, a Bolós wyciągnął fajkę, budząc tym moją natychmiastową zazdrość. Tak to każdy potrafi.

– Nie wiedziałem, że palisz fajkę.

– Zawsze mi się to podobało.

– Ale fajka jest nowa, prawda? – Miquel potrafił być upierdliwy, mimo że to jego najlepszy przyjaciel. Wyjął mu fajkę z ręki i oglądał, jakby się na tym znał.

– No dobrze, tak... Którego dnia trzeba zacząć.

Obok nich stała grupa studentów. Dużo dziewczyn. Wszyscy się śmiali, jakby się znali od wieków, jakby studiowanie na uniwersytecie było czymś całkiem naturalnym. Krawatów nie zauważył.

– Prawda, że tylko my z naszej szkoły wybraliśmy Wydział Humanistyczny?

– Aha!... – Bolós męczył się nad zapaleniem fajki. Na chwilę zasłonił go imponujący obłok amsterdamera, powodując lekkie mdłości. Po dwóch pociągnięciach fajka zgasła.

– Zgasła ci. – Och, Miquel, bądźże człowiekiem.

– Wiem, wiem, cholera. Co mówiłeś?

– Że tylko my wybraliśmy Wydział Humanistyczny.

– Tak. No i Rovira, prawda?

– Nie, coś ty, przecież zaczął nowicjat.

– No tak, jasne, masz rację. Tylko my. – Zaciągnął się energicznie. – Szkoda faceta, nie?

– Nie wiem. Pewnie wie, co robi.

Prawdopodobnie o tej porze, przed dziewiątą rano na początku października Rovira kłął w żywy kamień i powtórzył po jakiegoś chuja wpakowałem się w to gówna, kurwa mać, co ja tu robię, w tej sutannie, do diaska? A może przyjmował właśnie Najświętszy Sakrament podczas Eucharystii z namaszczeniem i szczególną pobożnością, przeniknięty poczuciem szczęścia do szpiku kości. Słuchaj, ani jeden. Żaden ze studentów nie założył krawata.

– Wszyscy z fakultetu humanistycznego poza mną poszli na prawo. – Teraz fajka wydawała jakieś denerwujące dźwięki, ale przynajmniej się kurzyła.

– A z fakultetu matematycznego tylko ja wybrałem Wydział Humanistyczny. Ej, Bolós, co to za dźwięk?

– Ślina. Tak, ty i ja, dwa lenie.

Kiedy człowiekowi dają prawo do marzeń, dobrze jest z niego korzystać. Miquel Gensana większość czasu na kursie przeduniwersyteckim spędził zatopiony w oceanie wątpliwości; nie wszystkie sprowadzały się do tego, czy ma być księdzem, misjonarzem, zdobywać niebo dla siebie i dla innych; uzasadnione wątpliwości dotyczyły też pozostałych życiowych spraw, jak na przykład całowanie wszystkich ładnych dziewcząt (czyli właściwie wszystkich dziewcząt, bo wiedziałem, że wszystkie są ładne), palenie papierosów tak, żeby nie zanosić się kompromitującym kaszlem, czy dokonywanie wyboru między inżynierem przemysłowym, włókienniczym, chemikiem, lekarzem, adwokatem, architektem i tak dalej. Zdecydowałem się na i tak dalej, chociaż z pewną obawą. Miałem pełną jasność, że nie chcę zostać ani inżynierem przemysłowym, ani włókienniczym, chemikiem, lekarzem, adwokatem czy architektem, a ze względu na rodzinę nie mogłem skorzystać z przekornej rady wujka Maurycego, jedyne w rodzinie podwójnego magistra, który przekonywał mnie, że jeśli chcę robić pieniądze, powinienem zostać mechanikiem samochodowym, wiem, co mówię, Miquelu: rano otwierasz, wieczorem zamykasz, a pieniądze same wpadają ci do kieszeni. Powinienem być tak zrobić. Ale wujek po to tak mówił, żeby zdenerwować rodziców i babkę Amèlię. W gruncie rzeczy wszyscy wiedzieli, że żaden Gensana nie mógł się wykręcić od studiów uniwersyteckich; choćby ich nie dokończył czy nie pracował w wyuczonym zawodzie. To też ułatwiało sprawę Miquelowi, ponieważ od razu mógł machnąć ręką na takie zawody jak drukarstwo czy stolarstwo; wiedziałem też, że nie będę maszynistą, a nawet mi do głowy nie przyszło, żeby zostać

pasterzem czy strażnikiem miejskim. Jednak mimo tych wszystkich ułatwień Miquel zaniepokojony, że nie wie co dalej, zaliczał kurs przeduniwersytecki. Aż pewnego dnia Bolós powiedział mi, że podobno jest coś takiego jak historia.

– Historia jako kierunek studiów? Tak jak architektura?

– Aha. – To było aha pewne siebie, bez fajki. Uniwersytet jeszcze był daleko.

– No, to by było fajnie, nie? Nie uważasz, że powinniśmy się tym zainteresować?

Zainteresowaliśmy się, w kolegium księża też sprawdzili, trochę zaskoczeni, że normalni, zdrowi chłopcy z dobrej rodziny nie chcą być adwokatami czy architektami, ale koniec końców, udzielili nam niezbędnych informacji, i Bolós z Miquelem zapisali się na Wydział Humanistyczny, skutkiem czego Bolós (Josep Maria Bolós, Nieodłączny Przyjaciel) przez całe lato wprowadzał swojego przyjaciela, czyli mnie, w tajniki łaciny, którą zdążyłem zapomnieć od czwartej gimnazjalnej, bo, jak mawia Pan, niezdecydowani zmieniają front szybciej niż kurek na dachu, i przez całe wakacje powtarzałem *res, rei, fero, fers, ferre, tuli, latum* i *Arma virumque cano, Troiae qui primus ab oris Italiam*, żebyśmy mogli się stawić w pierwszym dniu zajęć, pełni nadziei i w bezsensownych krawatach, przed Wydziałem Humanistycznym Uniwersytetu Barcelońskiego, gotowi rozpocząć nowy etap, poświęcony studiowaniu Historii, Języków i Dorobku Intelktualnego Ludzkości, która nie mogła się doczekać, aż zaczniemy ją reformować, unowocześniać i jej przeprowadzić.

– Dużo tu lasek, nie?

– Tak. Najwyższy czas.

Gotowi rozpocząć polowanie na spódniczki, denerwowaliśmy się, że aż tyle tu tego towaru, ale byliśmy dobrej myśli. Wchodziliśmy w świat dorosłych.

– Ciepło jest. – Miquel odpiął guzik pod szyją i na początek poluzował węzeł krawata. Bolós, któremu udało się dojść do porozumienia z fajką, też swój dyskretnie poluzował.

– To co? Wchodzimy?

Godzina ósma, trzydzieści siedem minut i dwanaście sekund, drugiego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku: my, dwaj nieustraszeni absolwenci kursu przeduniwersyteckiego, klasy A w kolegium jezuickim, którzy odważyli się nie zostać adwokatami, wchodziliśmy do Świątyni Mądrości z duszą na ramieniu, ze ściśniętym gardłem i z krawatami w kieszeni.

– Wiesz, że dopiero w domu wariatów odkryłem, kim jestem?

– A kim jesteś, wujku?

– Prawdziwym Maurycym bez Ziemi, Kronikarzem Wiatru, Zmyślaczem Rzeczywistości, byłym muzykiem, byłym filologiem, byłym twoim wujem.

– Nadal jesteś moim wujkiem.

– Nie. Teraz jestem Kronikarzem. Nie mogę być wszystkim naraz. – I zaraz, jakby chciał się usprawiedliwić, sięgnął po ostatni kawałek czekolady i wyszeptał: – Ty dla mnie jesteś jak syn.

– Dziękuję.

– Bardzo żałuję, że nie miałem dzieci... – Wujek zatopił się we wspomnieniach i milczał parę długich minut, aż w końcu zaczął mówić monotonnym głosem i powtórzył żałuję, że ich nie miałem. Tak samo żałuję ich braku, jak przeraża mnie ich posiadanie. Dla mnie córka, syn są biologiczną formą ciągłości, pozwalają zatrzymać nicość. To tak jak skomponować sonatę czy sonet. Rozmawiałem o tym z twoim ojcem, zanim popsuły się nasze relacje: on

Dlaczego tak łatwo przegapiamy nieliczne,
naprawdę ważne momenty w życiu? – pyta Cabré.
Proszę nie przegapić tej naprawdę mądrej powieści!

Michał Nogaś PROGRAM 3 POLSKIEGO RADIA

Ta miła kolacja miała być dla Miquela szansą na oderwanie się od czarnych myśli po pogrzebie przyjaciela, a tymczasem wszystko – potrawy, obsługa, goście, a przede wszystkim niefortunnie wybrany lokal – sprzysięgło się, by wieczór stał się koszmarem. W modnej restauracji, do której został zaproszony, mieścił się niegdyś jego dom rodzinny. I choć Miquel stara się o tym nie myśleć, duchy przeszłości wychodzą ze wszystkich zakamarków.

Mężczyzna staje przed trybunałem pamięci. Mierzy się z dwustuletnią historią rodziny, skandalem w tle, swoimi czynami z czasów, gdy walczył w partyzantce miejskiej, i rozlicza powojenną Hiszpanię – a także siebie – z doznanych krzywd, popełnionych błędów i niespełnionych miłości.

Tutaj, podobnie jak w *Wyznaję*, znaczącą rolę gra muzyka. Wokół niej kręci się życie bohaterów, ona nadaje ton zdaniom. Także z tego powodu Jaume Cabré uważa *Cień eunucha* za jedną ze swoich najbardziej udanych powieści.

Jaume Cabré urodził się w Barcelonie w 1947 roku. Od lat uznaje się go za najwybitniejszego pisarza katalońskiego. Jest autorem wielu powieści, zbiorów opowiadań, esejów literackich oraz scenariuszy filmowych i telewizyjnych. Należy do Instytutu Studiów Katalońskich, a jego utwory, wysoko oceniane przez czytelników i krytyków, były wielokrotnie nagradzane, filmowane i tłumaczone. Opublikowano je w ponad 25 krajach. Nakładem wydawnictwa Marginesy ukazały się jego powieści: *Wyznaję* (2013), *Głosy Pamano* (2014) i *Jaśnie pan* (2015).

www.marginesy.com.pl



9 788365 282606

cena 44,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIII

ROOM